

RYSZARD PAWŁOWSKI

SMAK² GOR

Spisała
GRAŻYNA POTWORA

Opowiadania
PIOTR WAŚKOWSKI

Zdjęcia: archiwum Ryszarda Pawłowskiego

Typografia, łamanie, projekt okładki,
zdjęcia na stronach rozdziałowych:
Wojciech Grzegorzycza

© Copyright INFOMAX & STAPIS, Katowice 2004

ISBN 978-83-89476-96-8

Wydawca:

INFOMAX KATOWICE

ul. Porcelanowa 11c

40-246 Katowice

tel./faks: 32 730 32 32

www.dobrewydawnictwo.pl

e-mail: wydawnictwo@dobrewydawnictwo.pl

Seria wydawnicza

LITERATURA GÓRSKA NA ŚWIECIE

Wydawnictwa STAPIS

40-288 Katowice

ul. Floriana 2a

www.stapis.com.pl

tel./faks: 32 206 86 41

Wydanie III poprawione 2010

Druk:

PoligrafiaPlus

e-mail: poligrafia@grupalNFOMAX.com



SMAK WIATRU	11
WYWIAD	
RYSIEK, CZYLI NAPAŁ	28
BABY	40
PRIORYTETY, AUTORYTETY	48
DZIURY W MÓZGU	60
MIÓD Z KROPLĄ DZIEGCIU	74
RYZYKO I GÓRSKIE TRAGEDIE	92
ZWYKŁE PYTANIA	106
KOMERCJA, CZYLI GÓRY DLA KAŻDEGO	124
SMAK PRZYGODY - OPOWIADANIA	133
Za pieniądze	135
Blisko nieba i śmierci	138
Światło Alaski	142
Świat jest dla odważnych	146
Urodzinowy prezent	150
Sukces i tragedia	157

CAŁY NAPAŁ - ROZMOWY	162
Mirosław Pawłowski	163
Henryk Szczęsny	171
Ewa Dumańska	177
Andrzej Wojda	182
Bogusław Grabowski	188
PODZIĘKOWANIE	198
OSIĄGNIĘCIA GÓRSKIE	199
NOTA BIOGRAFICZNA	202
SŁOWNIK WSPINACZKI GÓRSKIEJ I SKAŁKOWEJ	205
INDEKS WYBRANYCH NAZW I NAZWISK	213

*Moim Kochanym Dziewczynom
– żonie Magdzie i córce Marcie,
dzięki którym życie nabrało
dla mnie pełnego i nieznanego
dotychczas wymiaru.*

Rysiek



SMAK WIATRU

SMAK WIATRU

Piotr Wąsikowski

11

Zmrok nad Lodowcem K2 zapadał tak szybko, że Rysiek co chwila, z żalem spoglądał w stronę swojej znikającej szklanej góry, którą jeszcze tak niedawno miał pod nogami. Być może chciał ją zapamiętać na kilka lat, które miały minąć zanim znów rzucił jej wyzwanie, a może zachłannie wpatrywał się w czerwono-złoty blask ostatnich promieni zachodzącego słońca, pełzających po błękitnych śniegach wierzchołka Czogori, żeby związać się z nią jakąś niewidzialną, najdoskonalszą liną, która nie pęka nigdy.

Teraz był jednym z niewielu ludzi, którzy zdobyli najtrudniejszy szczyt na Ziemi. Górę grozy, górę zabójcę, górę marzeń, rozpaczy i szczęścia. Chciał, żeby ta chwila trwała i żeby znów poczuł się zwycięzcą, bo to uczucie jest przez chwilę tam, a potem tak trudno cieszyć się nim w dolinach.

Pochylił się, wsparł dłoń na kolanie i przez moment zmagał się z nadchodzącym kaszlem. Przed oczami pojawiły się czarne płatki, a uczucie ulgi, jaką mogłoby przynieść zrzucenie plecaka, podstępnie zajmowało myśli.

Dlatego pewnie, kiedy uniósł się i znów spojrzał w stronę bazy, sądził, że niewielka postać poruszająca się miękkiem, ale wprawnym krokiem, jak na filmie wyświetlonym w zwolnionym tempie, to złudzenie.

Jednak idący w jego stronę Krzysztof Wielicki, lider wspaniałej, bo zwycięskiej, ale dramatycznej, pełnej zwrotów, klęsk i radości wyprawy na K2 w lecie 1996 roku, wiedział, że widzi Pawłowskiego. Wiedział, też, że żadne słowa uznania nie zastąpią w tej chwili jego pleców, na które weźmie plecak Ryśka, żeby bez zbędnych słów wesprzeć człowieka, który razem z Piotrem Pustelnikiem wyczekał, wymodlił czy wymusił sobie tylko znanymi zaklęciami na tej nieprzyjaznej górze najlepszą chwilę do ataku. Potem zdobył ją, a teraz szczęśliwie dotarł do bazy, co w górach jest przecież największym zwycięstwem.

– Rysiu, serdecznie ci gratuluję. Naprawdę. Dawaj plecak.

– Nie żartuj... lider nie będzie mi nosił plecaka – zaproponował Pawłowski.

– Ty nie żartuj! Dawaj! – Krzysiek zaczął zdejmować sprzęt z pleców Ryśka.

– No dobrze. Tylko na chwilę – zgodził się.

Obaj wiedzieli, że będzie inaczej, że do opustoszałej już bazy, w której oprócz Wielickiego czekał tylko lekarz Marek Roźniecki, Pawłowski wróci „na lekko”.



Kiedyś był już tak blisko sięgnięcia po tę niezwykłą górę. Ile to lat? Dzieśięć? Tak, równo dziesięć lat temu wszystko było już przygotowane.

Wypracował sobie tamtą wyprawę robotami wysokościowymi. Do swojego zespołu zaprosił go Janusz Majer, świetny himalaista, lubiany kierownik wypraw i przyjaciel. Ale K2 przegrała z osobistymi problemami.

Pieniędzy potrzebował na znacznie bardziej prozaiczne cele. Tu na miejscu. Jego syn Marcin miał dwa i pół roku, a w domu nie przelewało się. Nie bez rozterek zrezygnował, wbrew temu, co sądzi się o jego naturze. I ciągle niełatwo zapomnieć, bo było to najstraszniejsze chyba lato w górach wysokich. Wyprawy atakowały szczyt jedna za drugą. Paradoksalnie przy pięknej pogodzie co rusz nadchodziły tragiczne wieści. Jedni ginęli, drudzy szli w górę. Jakby ogarnął ich jakiś amok. W lodowo-skalnym świecie zostało czternaście osób. Wśród nich nasi: Tadeusz Piotrowski, Wojciech Wróż, Dobrosława Miodowicz-Wolf – „Mrówka”. Były też sukcesy. Ale przyćmione tragediami. Śmierć Wandy Rutkiewicz, która wchodziła w skład francuskiej ekspedycji Lilianne i Maurice’a Barradów i była pierwszą kobietą, która zdobyła tę górę. Jerzy Kukuczka i Tadeusz Piotrowski idący w wyprawie legendarnego Karła Herrligkoffera weszli na szczyt nową drogą. Barradowie i Piotrowski zginęli podczas zejścia.

Rysiek czasem zastanawiał się, gdzie mógłby teraz być. W swojej drodze, tej od Rypina, miasteczka zagubionego gdzieś wśród łagodnych pagórków, przez szkołę życia na Śląsku, aż po obywatelstwo świata, w którym czuje się najlepiej. Gdzie? Gdyby słodka i bolesnie natrętna myśl o wejściu na K2 zmaterializowała się wtedy, w 1986 roku...

Pamięta wszystkie razy, kiedy Opatrzność po raz kolejny pozwoliła mu mówić w dolinach, że wywinął się z sytuacji właściwie bez wyjścia. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad tym, że los być może nieprzypadkowo odsunął wtedy jego marzenia o K2. Czy tak było? Czy wolno mu grzeszyć pychą i udawać, że to wszystko to zbiegi okoliczności, trochę sprytu, biznes? Jak dobrze, że na takie myśli pozostaje niewiele czasu w jego zabieganym i rozjeżdżonym życiu. I dobrze, że nikt nie odpowie, jaki los byłby mu sądzony tam, na K2 między czerwcem a sierpniem 1986 roku.



Czogori nazywana jest K2 dzięki zasadniczości angielskich wojskowych topografów, którzy w roku 1856 rozpoczęli wyznaczanie wysokości

wierzchołków tego fascynującego pasma białych olbrzymów. K – bo Karakorum, 2 – bo tak wypadło w toku prac kapitana T. G. Montgomerie. Kiedy Anglik sir Francis Younghusband w 1887 roku zobaczył tę górę, określił ją jako „niewiarygodny stożek” i napisał, że jest „oszałamiających rozmiarów”.

Doskonałość ogólności tego stwierdzenia jest zadziwiająca. Takie jest pierwsze wrażenie i wszystko potem takie pozostaje, mimo że K2 zbadano i opisano setki razy, sfotografowano i sfilmowano na wszystkie sposoby. Góra jest niewiarygodnie piękna i przerażająca.

Dwa lata po Younghusbandzie pod K2 zjawił się Polak. Kapitan w służbie carskiej Bronisław Grąbczewski. Monumentalny masyw zrobił na nim tak wielkie wrażenie, że gotów był naruszyć jego godność imieniem syna łaskawie panującego cara Mikołaja. Nie wiedział, że wcześniej górę zmierzyl, zresztą dokładnie, i nazwali Anglicy. Potem byli Conway, Crowley, Eckenstein, Pfannal. I jeszcze w 1909 roku Ludwik Sabaudzki, książę Abruzzi, od którego nazwę przyjęło najbardziej charakterystyczne żebro góry, część najłatwiejszej drogi ku wierzchołkowi. Jeśli w jej przypadku w ogóle można użyć takiego określenia. To on powiedział po obejrzeniu szczytu z trzech stron, że rozwiązanie problemu K2 będzie zadaniem dla lotnika, a nie wspinacza.

Historia prób zdobywania K2 dowodzi, że sama góra, panujące tu warunki atmosferyczne i wszystko, co wokół niej, z ludźmi włącznie, nie sprzyjają temu. Do 1939 roku Czogori atakowali trzykrotnie Amerykanie, a osiągnięty wówczas rekord wysokości wynosił 8370 m i należał do trzeciej wyprawy kierowanej przez Charlesa Houstona.

W końcu nadeszło lato 1954 roku. Po sukces sięgnęli Włosi pod wodzą Ardito Desio. 31 lipca o godzinie 18. Achille Compagnoni i Lino Lacedelli w tryumfalnym geście unieśli czekany ku niebu, mając pod nogami dużą i wygodną platformę wierzchołka.

A dalej? Musiało minąć aż 21 lat, żeby pod K2, w roku 1975 pojawili się następni śmiałkowie. Byli to znów Amerykanie, ale nie weszli wyżej niż wspomniany już Eckenstein 73 lata wcześniej, osiągając wysokość

6700 m. Rok później do walki włączyli się Polacy. Wyprawa Janusza Kurczaba, Eugeniusza Chrobaka, Wojciecha Wróza, którego góra zabrała w 1986 roku, sięgnęła po wysokość 8400 m. To już było coś, ale na spełnienie polskich marzeń trzeba było poczekać jeszcze dziesięć lat, choć po drodze były sukcesy sportowe. Były też wizje, które doczekały się realizacji dopiero w XXI wieku. Taka była pierwsza zimowa i ostatnia już taka obłędnicza wyprawa Andrzeja Zawady z przełomu 1987/88 roku.

Nie wolno nam również zapomnieć o roku 1982, kiedy górze rzuciły wyzwanie Polki kierowane przez Wandę Rutkiewicz (zmarła wówczas Halina Krüger-Syrokomska) i o 1984 roku, kiedy na nic się zdał wysiłek naszych dziewczyn uczestniczących w nieudanej wyprawie szwajcarskiej. Pierwsze polskie i jednocześnie pierwsze kobiece wejście na K2 należy do Wandy Rutkiewicz. Zdobyła szczyt 25 czerwca 1986 roku. Niespełna dwa tygodnie później stanęli na nim Jerzy Kukuczka i Tadeusz Piotrowski, a za trzy tygodnie Przemysław Piasecki i Wojciech Wróz.

Wspaniałe sukcesy, ale przyćmione śmiercią kolegów.



Po dziesięciu latach od wydarzeń, które działy się na K2 i które ominęły Ryśka, nie pozostając jednak bez głębokiego śladu w jego pozornie odpornej duszy, Polacy znów byli na K2. Tryumfowali. Poradzili sobie z głodem, pogodą, uciekającym czasem. W końcu obronili się przed śmiercią. Bo atak na tę górę zawsze oznacza otarcie się o nią. Teraz też nie było inaczej. Weszli od strony chińskiej. Wśród nich nasi najlepsi: Krzysztof Wielicki – kierujący wyprawą, Ryszard Pawłowski – człowiek, który miał już za sobą dwukrotne wejście na Mount Everest, i Piotr Pustelnik – skromnie, ale konsekwentnie i skutecznie pracujący na swoją sławę.



Siedział w namiocie, pochylając się nad kubkiem herbaty i bawiąc się myślami o urodzie zwycięstwa. O jego smaku, o smaku wiatru. Takie piękne jest tam w błękicie, takie smaczne po powrocie do kraju! A jakie jest teraz, kiedy obejmuje dłońmi ten gorący kubek, w zniszczonym namiocie opustoszałej bazy? Jest głodny, ale znużenie na razie osłabia apetyt,

więc stara się nie myśleć o tym, że i tak niewiele zostało do zjedzenia. Tym, co jest, podziela się solidarnie. Przecież gdyby nagle nadszedł ktoś, to też by dostał. Kto może nadejść?

Niech nadejdzie Igor – Rosjanin, który tuż po nich wszedł na szczyt. Nie wrócił już do namiotu. Carlos Buhler mówił, że Igor nie miał siły, że chciał biwakować poniżej wierzchołka. Gwałtowne załamanie pogody mogło oznaczać tylko jedno. Igor nie wróci już do żadnej bazy. Pozostanie tam, w górze i w pamięci. Rysiek uśmiecha się w myślach do siebie, bo to taka słowiańska specjalność mieszać sukces z refleksjami i dzielić się jedzeniem.

Włosi mają inne zwyczaje. Ci, z którymi atakowali górę, również. Chętnie korzystali z pomocy i bez skrępowania wozili się na plecach silniejszych Polaków, ale kiedy prowiant zaczął niepokojąco topnieć, skrzętnie wymiatali wspólne jedzenie ze swoich talerzy, a następnie zamykali się w namiotach i dopychali nieujawnionymi zapasami.

Raz mogło być inaczej. Włosi wręczyli kucharzowi dwie paczki swojego ulubionego makaronu i kazali mu ugotować wszystko. Najedli się. Oczywiście we własnym gronie. Przesadzili jednak z proporcjami i szybko okazało się, że nie byli w stanie zjeść wszystkiego. Rysiek pamiętał zapach tej mało wyszukanej, ale jakże wówczas cennej potrawy. Włosi nie poczęstowali naszych. Zadowoleni i najedzeni postanowili, że wspólnie podarują niezjedzony makaron wynajętemu kucharzowi. Skromny chłopak zajęty swoją pracą od kilku dni udawał, że nie widzi włoskich obyczajów, które i jego dziwiły, ale tym razem nie wytrzymał. Wziął garnek z makaronem, mrugnął do naszych i ostentacyjnie wylał jego parującą zawartość między kamienie niesione przez lodowiec K2. Włosi wrócili do namiotów.



Karakoram High Way. Ładna nazwa drogi, która przybliżyła cywilizowanemu światu tę zaczarowaną krainę. Co chwila przysypywana przez błotno-kamienne lawiny, gdzie indziej przerywana strumieniami, które powstały na chwilę, jakby tylko po to, by jeszcze raz spróbować

zatrzymać ludzkie spojrzenia w obliczu góry gór. Drogę budowało czterdzieści tysięcy robotników, używając kilofów i łopat. Dokonali wspaniałego dzieła w nieprzyjaznym, niemal marsjańskim krajobrazie. Tylko czasem ktoś wspomni, że tysiące z nich nigdy już nie wróciło do swoich wiosek, a ich dzieło stale musi być pielęgnowane tymi samymi metodami co dawniej, bo natura w ciągu dwóch, trzech lat nieodwołalnie zaprowadziłaby tu swój porządek.

W końcu nadchodzi ten moment, kiedy trzeba oddalić się od Jedwabnego Szlaku. Samochody nie pojadą dalej. Nadchodzą poganiacze z wielbłędami. I oni, i one nie wyglądają imponująco. Oni, bo to biedni ludzie, a kamele są właśnie w okresie linienia. Zrzucają runo, więc ich futro wygląda jak zjedzone przez armię moli. Wielbłądy są rozdrażnione i złośliwe, ale tylko dzięki nim można dotrzeć do tak zwanej bazy chińskiej. Od niej transport odbywa się już na plecach ludzi.



Znów w górę. Kamienie, rwące rzeki, które o tej porze można jeszcze pokonać w bród. K2 ciągle nie widać. Nad głowami niskie, ciężkie chmury, na karkach mżawka. Wysokość daje o sobie znać, wysiłek jest coraz większy. Rysiek zabija nudę dojścia w rejon góry filmowaniem. Wie, że jego droga w ten sposób wydłuży się o jedną czwartą, ale jest w dobrej formie i wyprzedzanie o krok karawany lub jej doganianie nie sprawia mu trudności. Inni wolą koncentrować się na marszu i niechętnie biorą kamerę do ręki.

Są na lodowcu. Jeszcze dzień i wejdą do tych niezwykłych kanionów z lodowo-śnieżnych ścian. Tu będzie baza. Początkowo ciepła i bezpieczna, podnosząca na duchu, z przepięknym widokiem na K2 i ich ścianę. Później zasypana potężnym śniegiem, jeszcze później pełna oczekiwań na nadejście właściwej pogody, skrywanych nudy, napięcia, radości, niepokoju, oczekiwania.



29 czerwca słońce nad K2! Od rana w bazie ożywienie, humory doskonałe i trochę nieudolnie skrywane, bo lepiej nie zapeszać. W dodatku to

imieniny Piotra i Pawła. A Piotrów jest dwóch: Pustelnik i Snopczyński. Pawłowski znów sięga po kamerę. Góra cudownie srebrzy się w pełnym słońcu. Trzy kopułki granatowo-szarych namiotów zaczynają się poruszać. Wychodzi Marek Grochowski, w otworze pojawia się też głowa Snopczyńskiego.

– Wystaw bardziej głowę! Tak żeby było widać włosy! – śmieje się Pawłowski, wiedząc, że dla Piotra będzie to oznaczać wysunięcie się z ciepłego namiotu w słoneczny, lecz jeszcze lodowcowo-chłodny poranek. Bo Snopczyński nie dość, że niewysoki, to w dodatku ma długie włosy, ale głównie z tyłu.

Do solenizanta podchodzi Krzysiek Wielicki.

– No, Piotrze, czego ci życzyć oprócz odrośnięcia palców – żart męski, może koszmarny, ale wszyscy rechoczą na czele ze Snopczyńskim. Rzeczywiście amputowano mu palce u stóp po tym, jak odmroził je podczas wyprawy na Gasherbruma II.

– Żebyśmy z Piotrkiem Pustelnikiem postawili dzisiaj pierwszy obóz – odpowiada.

I rzeczywiście, wkrótce obaj wyruszyli w stronę podstawy ściany. Jeszcze w słońcu. Później pogoda psuła się z minuty na minutę. Wrócili wykończeni. W tym dniu jedynek nie została postawiona.

W górach brak wiadomości nie jest dobrą wiadomością. Niepokój natychmiast ogarnia uczestników wyprawy. Są tacy, którzy udają, że go nie ma, innych paraliżuje, zatruwając myśli bezsilnością wobec lodowo-skalnej furii. Jak trudno i jak paradoksalnie łatwiej mieli ci, którzy dziesiątki lat wcześniej ruszali do ataku.

Niepokój miał wtedy zupełnie inny wymiar. Nie było skutecznych sposobów na przekazanie wiadomości o miejscu biwakowania, o pogodzie, samopoczuciu czy planach. Jeśli oczy nie były porażone śnieżną ślepotą, choroba wysokościowa nie odbierała siły na sensowną analizę różnych znaków, a wszelkie inne warunki, topografia czy pogoda pozwalały na ich przesłanie, i tak pozostawało oczekiwanie na uścisk dłoni. To była najlepsza informacja, zresztą tak jak teraz. Ale teraz nawet takie wyczyny,

jak zdobywanie K2, dzieją się w przenośni i dosłownie na oczach wszystkich. Również tych, którzy czekają w kraju, najbliższych, zwyczajnie zaciekawionych, czy tych, którzy żyją z przekazywania informacji.

Lekkie i skuteczne krótkofalówki w ścianie i telefony satelitarne w bazie nie pozwalają na to, żeby nie wiedzieć, co dzieje się w tym świecie dla wybranych, oddalonym o tysiące kilometrów i tygodnie marszu przez kamienne pustkowia. Chyba że te wspaniałe urządzenia nie przekazują już żadnej wiadomości... Wtedy przychodzą najgorsze myśli.

Pawłowski ma być może zdolność do otrząsania się z natrętnych rozważań nad pytaniami, które chciał zadać, ale których nigdy nie wypowiedział. Złudne okazuje się przekonanie, że czas będzie lekarstwem na takie głębokie rozterki.

A było wtedy tak, że obaj z Piotrem Pustelnikiem zniknęli na K2 na cztery dni. Dlaczego? I to w czasie, kiedy inne wieści bez przeszkód płynęły do Polski? Przez trzy noce i cztery dni zawisli gdzieś między niebem, bazą, ich rzeczywistością i domysłami tych, którzy z oddali mogli tylko wierzyć w ich szczęście. Zniknęli dla świata, który wiedział już, że Włosi Marco Bianchi i Christian Kuntner pewnie w duchu i za ledwie w duchu, szczerze dziękując Krzysztofowi Wielickiemu, stanęli u jego boku na wierzchołku.



10 sierpnia 1996 roku wyszli w pięciu z ostatniego obozu na wysokości 7800 m z zamiarem zdobycia K2. Wielicki, dwaj Włosi, Pawłowski i Pustelnik. Kiedy patrzy się z lodowca w stronę szczytu, trudno nie ulec złudzeniu, że miejsce, z którego wyszli w stronę wierzchołka, dzieli od niego za ledwie chwila. Jest już tak blisko, tak pięknie. Musi być przecież jakaś nagroda za te dwa miesiące wysiłku, nudy, kłótni, wzruszeń, wątpienia, głodu i niekończącego się kaszlu. Trawers przez trójkąt pola śnieżnego, kuluar i szczyt. Trzeba tam być, żeby zrozumieć, że decyzja o atakowaniu w tym miejscu jest czasem na rozmowę z samym sobą. Jest pytaniem o to, czy aby na pewno jesteśmy wyłącznymi dysponentami

swojego życia. Przecież ta końcówka to jeszcze osiemset strasznych metrów wysokości w strefie śmierci do pokonania. I powrót. Znowu to samo, ale w dół. Wysiłek nie mniejszy, a zagrożenie większe. Narastające zmęczenie, dekoncentracja po sukcesie i czas, którego może zabraknąć na dojście do obozu.



Krótko po wejściu w trawers nieco powyżej ostatniego obozu Rysiek uniósł głowę ku górze, potem spojrzął w stronę opuszczonego namiotu i jeszcze raz na zegarek. Piotr stał obok niego.

– Piotrek... – zagadnął partnera poprawiającego sprzęt – wycofuję się.

Pustelnik popatrzył na niego uważnie.

– W ogóle? Nie zaatakujesz?!

Wielicki był o kilkanaście metrów dalej. Zobaczył, że Rysiek i Piotr zatrzymali się.

Pawłowski zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Wycofuję się. Piotrek też. Nikt z nas nie ma szansy, żeby zejść przed nocą. Dobrze wiesz, że to może oznaczać biwak bez namiotu, w kopule podszczytowej – powiedział chrapliwym głosem.

Krzysiek patrzył na niego, nic nie mówiąc. Obaj wiedzieli, że to już ostatnie akty tej trudnej wyprawy. Że wielbłądy są już w drodze do bazy, że kończy się pozwolenie. No i że teraz albo nigdy, bo kończą się siły, jedzenie, a wkrótce odpłynię gdzieś i motywacja.

– Skoro tak zdecydowaliście, to idę tylko z Włochami... To ostatnia szansa. Idę w górę – odparł Wielicki i odwrócił się w stronę stoku. Była godzina 14.



W postawie lidera wyprawy było tyle determinacji, że Rysiek nie wątpił, że za parę godzin Krzysiek będzie zdobywcą K2. Wiedział też, że trzyosobowy zespół nie ma żadnej szansy na powrót do namiotu przed nocą. W dodatku Bianchi i Kuntner nie byli w dobrej formie i nie palili się do torowania w śniegu, przenosząc całą tę robotę na Wielickiego.

Tak jak Rysiek przewidywał, na szczyt weszli po 20. Bolesne jest zwyczajstwo, kiedy nie można zobaczyć świata u stóp, rozległej panoramy morza szczytów. Tych wielkich, znanych na pamięć, ale niekończących się, po horyzont, bezimiennych i dzikich, których nikt nie będzie zdobywać. I ogromnych lodowców, wijących się niczym monstrualne gąsienice, nieuchronnie zmierzające do przemiany w życiodajne i piękne rzeki. Do zdjęć z lampą błyskową pozowali tak, żeby widać było charakterystyczny maszt ustawiony nieco wcześniej na szczycie przez włoską wyprawę.

Stało się tak, jak przewidywał Pawłowski, ale inaczej nie mogło być. Właściwie dopiero rozpoczęli zejście i krótko potem zatrzymali się na wysokości 8300 m. To tu zdobywcy K2 musieli spędzić noc na stojąco, pod osłoną nieba, w niebezpiecznym kularze, bez sprzętu biwakowego. Za taki wyczyn często drogo się płaci. Tym razem mogło być podobnie. Otarli się o tragedię.

Rano okazało się, że Bianchi jest w złym i w dodatku szybko pogarszającym się stanie. Kiedy doszli do namiotów na 7800 m, było jasne, że Marco przeżyje, jeśli weźmie lekarstwa, a przede wszystkim niezwłocznie zostanie sprowadzony do niższych obozów. Rysiek nie myślał już o szczycie. Decyzja została podjęta: schodzimy i holujemy Włocha.

Tak też zrobili. Pawłowski czuł się doskonale. Był w formie, którą z łatwością i dobrym skutkiem wykorzystałby do ataku. A jednak teraz schodził, nie zastanawiając się, dlaczego rezygnuje. Może tak jak wszyscy miał już dość tej góry, tych tygodni oczekiwania na słońce, niedojadania, ciągłych utarczek o drobiazgi. Dopiero w trójce zaczął odzyskiwać tę wewnętrzną siłę, która już tyle razy pozwalała mu osiągnąć sukces.

Zdeteriorowany Marco potrzebował stałej pomocy przy schodzeniu i wydawało się, że dopiero dotarcie do dwójki pozwoli na wyciągnięcie go z tego stanu. Rysiek był w trzecim obozie chwilę wcześniej niż Włoch. Sięgnął po kamerę i w pełnym słońcu zarejestrował coś, co wyglądało jak żarty w bazie, kiedy dorośli faceci dla zabicia nudy bawią się jak dzieci. Oto w zupełnie łatwym, płaskim terenie, tuż obok namiotów, dumny jeszcze niedawno pogromca K2 schodzi powoli, na czworakach,

poruszając się tyłem. Ale nikt się nie śmieje. Któryś z chłopców jest blisko niego, tak żeby Marco miał wrażenie, że stale jest asekurowany. Tak bywa w górach, że sukces może być bratem porażki. Dobrze, kiedy wszystko szybko wraca do normy. Tym razem sprawy potoczyły się zgodnie z pomyślnym scenariuszem. Bianchi z minuty na minutę czuł się lepiej. Wkrótce wiadomo już było, że do obozu drugiego zejdzie bez bezpośredniej pomocy kolegów.

Właśnie wtedy Pawłowski znów spojrzał ku górze. Stąd nie mógł widzieć wierzchołka, a nawet drogi ku niemu wiodącej, ale czuł, jak związuje on jego myśli i ciągnie ku sobie z siłą, wobec której każdy opór staje się bezsensowny.

– Zostaję w trójce – zwrócił się do Wielickiego i Pustelnika.

– Rysiek, to nie ma sensu – odparł Wielicki. – Pogoda jest coraz gorsza i nie uda ci się tego przeczekać, a pozwolenie już się kończy. Kamele są w drodze do bazy.

Wtedy odezwał się Pustelnik.

– Sprowadzimy Marco i wrócę tu. Zaatakujemy we dwóch.

Rysiek spojrzał na Pustelnika trochę zdziwiony. Marco nie potrzebował już tak wielkiej pomocy. Dlaczego więc Piotr decyduje się na dodatkowy dzień wspinaczki? Wtedy nie zastanawiał się nad tym, choć jego zdaniem przypominało to przeprowadzanie na siłę babci przez pasy.

– Dobrze, będę czekał na ciebie w trójce – powiedział, zwracając się do Piotra. – Pojutrze przejdziemy do czwartego i w nocy zaatakujemy.

W namiocie trzeciego obozu na północnej ścianie K2 gotuje zupę i czeka.

Długie godziny mijają w ciszy, jedna za drugą. Myśli powoli układają się w półsen. Rysiek odruchowo podciąga suwak polara. Choć w śpiworze jest ciepło, czuje jakiś chłód.

Widzi, że ma na sobie swoją starą, różową kurtkę. Jak przez mgłę kogoś słyszy. To chyba Wanda. Skąd się tu wzięła, skąd przyszła? Coś mówi do niego.

Rysiek wsłuchuje się w słowa, ale one nie układają się w zdania. Jeszcze raz próbuje zebrać myśli. Jeśli ma na sobie ten polar i obok jest Wanda, to są na Annapurnie.

Teraz widzi jej twarz. Rutkiewicz patrzy gdzieś niewidzącym wzrokiem. Jest smutna. Nikt już nie lubi z nią chodzić. Jest zbyt powolna, za często biwakuje w drodze, zabiera dziesiątki gadżetów. W jego śnie jest obok i jednocześnie gdzieś wysoko. Nie nawiązuje kontaktu. Rysiek po zejściu ze szczytu do dwójki zgłosił się przez krótkofalówkę. Po jakimś czasie Wielickiemu zameldował się też Rüdiger Schleypen.

– Wanda, Wanda, zgłoś się! – nawołuje co jakiś czas Krzysiek, ale odpowiada mu cisza. – Wanda, zgłoś się!

Nie wiadomo, co się z nią dzieje. Może utknęła gdzieś między trójką a szczytem, może choruje albo straciła radiotelefon.

Nagle sen odpływa. Rysiek unosi się na łokciu i patrzy w ciemność. To jest K2, a od tamtego wejścia na Annapurnę minęło kilka lat. Wandy już nie ma. Nie wróciła z Kangczendzongi.

Znów przymyka oczy. Chce sięgnąć po przerwany sen. Chce usłyszeć, co wtedy mówiła. Widzi ją.

– A liny? – jej głos jest wyraźny. – Rysiek, jakie tam były liny poręczowe? Próbuje jej odpowiedzieć, ale tylko bezgłośnie porusza ustami. Krzysiek trzyma w dłoniach zielony zeszyt. Coś zapisuje.

– Zapomniałam powiedzieć, że byłam na szczycie – mówi Wanda i idzie w górę. Pawłowski jeszcze raz odrzuca sen, który i tak niczego już nie wyjaśni, a staje się boleśnie natrętny. Może to lepiej, kiedy nie śpi, bo wówczas jest na K2. Annapurna i to, co się na niej wydarzyło, rozplywa się w mgielce czasu.

Za kilka godzin do trójki przyjdzie Piotrek Pustelnik.



Obóz IV na wysokości 7800 metrów, mały namiot, godzina 2 w nocy. Dwóch silnych mężczyzn, dwa czekany, ale tylko jedna lampka czołowa i... jeden, ostatni dzień wyprawy. Lepszy śnieg niż cztery dni wcześniej, kiedy wycofywali się obaj na własne życzenie.

Byli już od kilku godzin w akcji, kiedy Pustelnik na niewielkim plateau zauważył, że idą wyraźnie wolniej. Ciepło, prawie bezwietrznie. Rysiek popatrzył na niego i wypowiedział słowa, których znaczenie dla Polaka Piotrek potrafił docenić, choć w tej sytuacji zrealizowanie propozycji miało dla niego odmienny sens.

– Może się napijemy? – zagadnął Rysiek, a Piotr przystał na to z ochotą.

Ugotowali herbatę, odpoczęli. Czuli, że sięgają po zwycięstwo i trochę bawili się nim. Oddalali ten moment, jakby nie chcieli nacieszyć się nim zbyt szybko. Łączyli się z czuwającym przy radiotelefonie Markiem Roźnieckim, Doktorem. On też wiedział, że nic już nie zawróci ich z tej drogi, nic nie odbierze im szczytu, radości, sławy i uznania.

Znów ruszyli. To było czterdzieści ostatnich minut marszu w górę. Przez chwilę patrzyli na triangul, który pojawił się tuż przed nimi, a potem uścisnęli się, wypowiadając z trudem jakieś chaotyczne gratulacje. Byli na szczycie K2. W kryształowym powietrzu, pełnym słońca czuli się panami świata, który rozpościerał się u ich stóp. Wszystko, czego dotknął teraz ich wzrok, było niżej. Pustelnik włączył krótkofalówkę i wywołał bazę.

– Piotr, słuchamy... – zameldował się Roźniecki głosem, w którym łatwo było wyczuć pełne napięcie.

Pawłowski zbliżył się do Pustelnika i na znak zawołali dwuosobowym chórkim:

– Jes... teś... my...

– Jeee! – Marek już wiedział, co usłyszy za sekundę. Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy, a na gardle zaciska się niewidoczna obręcz.

— ...na wierzchołku!!! – wychrypiał Piotr do mikrofonu.

– Jezu kochany! Chłopaki! No mówcie, mówcie, bo ja już kurwa nie mogę niestety mówić... no, mówcie – wykrzyczał ostatkiem sił Doktor i rozplakał się pięknie i szczerze, jak potrafi tylko prawdziwy mężczyzna.

Niedługo potem na wierzchołku pojawił się Rosjanin Siergiej Pencow. Znów uściski, gratulacje, potem wspólne zdjęcia. Rysiek zaważył,

że Rosjanin próbuje rozgrzać dłonie, miał kiepskie rękawice. Pawłowski bez wahania zdjął swoje i podał mu je, przełamując w krótkich słowach jego słowiańską skromność. Rysiek czuł, że Siergiej będzie czekał na Igora i Carlosa, którzy szli jego śladem. Nie wiadomo było, jak daleko są od szczytu, który zdawał się nie być już tak łaskawym dla grupki śmiałków. Nie wiadomo skąd na niebie zaczęły się pojawiać chmury, a siła nieobecnego do tej pory wiatru rosła z każdą minutą.

Ruszyli szybko w dół. Potem wpięli się w poręczówki i po nich, około godziny 19, bezpiecznie doszli do namiotu.

Kiedy zapadł zmrok, nad K2 szalał huragan. Dopiero o 22 Siergiej dosłownie wpadł do namiotu. Był ledwo żywy. Potwornie zmęczony i wychłodzony. Rysiek na chwilę rozchylił wejście do namiotu i popatrzył ku górze. Dałby głowę, że przez zamieć widział światełko.

– Igor i Carlos schodzą! – wymamrotał do Piotra, ale ten nie reagował, śpiąc albo pozostając w jakimś dziwnym letargu.

Przyszedł tylko Carlos Buhler. Był kompletnie wyczerpany. Bez wątplenia walczył o swoje życie.

– Carlos! Co z Igorem?! – Rysiek, przekrzykując łoskot wichury, próbował wydusić jakąkolwiek informację od półprzytomnego Amerykanina.

– Igor został i będzie biwakować – usłyszał niewyraźną odpowiedź.

Pawłowski wiedział już, że Igor umiera, że być może jest gdzieś blisko, że jeszcze można go jakoś ratować. Ale góra wystawiła okrutny rachunek. Nawet kolejni Rosjanie, którzy doszli tu z niższego obozu i próbowali iść w stronę Igora, nie pokonali więcej niż pięćdziesiąt metrów. Wiatr odbierał siły, nadzieję, radość. Teraz smakował gorzko.

MIĘDZY WIERSZAMI

Taki jest początek następnej książki o Ryszardzie Pawłowskim, do udziału w tworzeniu której zostałem przez niego zaproszony. To realizacja mojego dawnego zobowiązania wobec Ryśka i siebie samego. Wiedzieliśmy obaj, że wydana kiedyś opowieść „Dwa razy Everest” to dopiero początek opowiadania o jego nietuzinkowym życiu i zajęciu. Jednak czas mijał, wiele się zmieniało wokół nas, a pewnie – co nie bez znaczenia – i my sami. On wszedł między innymi po raz trzeci na najwyższą górę Ziemi, a ja coraz mniej wierzyłem, że jeszcze będę chciał wracać do odległego czasu i takiej formy wypowiedzi, że napiszę jeszcze o Pawłowskim to, co o nim wiem i myślę, że jest prawdą, a co kiedyś pozostało niedokończoną historią.

Stało się jednak tak, że następna książka trafiła w Wasze ręce, a ja nie odmówiłem udziału w jej powstaniu. Sądzę bowiem, że na chwilę warto wrócić do błyskotliwych sukcesów polskich himalaistów, których nazwiska wobec braku tak wyrazistych następców do dzisiaj każą z szacunkiem pochyłać głowę. Do czasu szaleństwa prasy korzystającej już wówczas z możliwości stałego utrzymywania łączności z uczestnikami zamożniejszych wypraw, zachwytu ludzi rozmiłowanych w każdych górach, resztek romantyki eksploracji, gasnącego mitu dozgonnej przyjaźni dwóch silnych ludzi związanych jedną liną w ekstremalnych warunkach. Trzeba też przypomnieć, że rozgrywało się to wszystko na tle jakże zażartych – dziś już nieważnych – dyskusji o „niegodnej komercji zabijającej szlachetną ry-

walizację i przyjaźń ludzi gór”. Nikogo dziś nie zdziwi, że przewija się tu ona do ostatniej strony, bo tak właśnie zmieniła się rzeczywistość, w której funkcjonuje bohater tej książki złożonej z trzech odmiennych w formie, ale mocno ze sobą związanych części. Zapraszają one w ciekawą i niełatwą drogę, którą prowadzi nas zawodowy przewodnik wysokogórski, jeden z najwybitniejszych himalaistów świata, człowiek legenda.

Zanim więc zdecydujecie, czy chcielibyście iść w góry z Ryszardem Pawłowskim, dokończcie spokojnie tę lekturę. Przekonajcie się, co teraz ma do powiedzenia, kim jest i... jaki jest.

Nie zapominajcie jednak, że choć to jego opowieść o nim samym, odpowiedź na tak zadane pytanie odnajdziecie dopiero po jakimś czasie.

*Piotr Wąsikowski
Katowice, 18 kwietnia 2004 r.*